TYGODNIK
WILEŃSKI

Ner 36.

Dnia 23. Lipca 1816 roku. v. s.

CHATKA

(Ułomek z pism Rossyanki N. A. G.)

Z ROSSYYSKIEGO.

(dokończenie)

Poczciwy Pustelniku! niemam dostateczney mocy aby wyrzec nienawistne, lecz zawsze święte jeszcze dla mnie imie..... Ono tu zostaie wyryte, (wskazuiąc na serce) z jéy wizerunkiem i nigdy się nie zetrze. Drogo opłaciłem ślepy traf, wydaiący mnie na świat wsród pompy i wyniosłości, z utratą spokoyności i szczęśliwości moiey. Rodzice moi poświęcali dla mnie całą swą czułość, na pochlebney zasadzoną nadziei — uyrzenia kiedyś uwieńczoney swey dumy....... Na nieszczęście skłonności moie obaliły ich widoki. Powiedziałem ci już szanowny Starcze, że serce moie obrało za cel swego ubóstwiania anioła piękności i wszelkich do-

skonałości. Niesądź iżby to opisanie miało bydź fałszywe; gdyż zwiedziony miłośnik spostrzega wady, których dostrzedz nie może szczęśliwy. Lecz to bóstwo nie miało innych skarbów, nad te któremi ią przyrodzenie obdarzyło. Niestety! ta tak szczodra dla niey matka, przepomniała utworzyć ją z wysokiego rodu. O jakiż niedostatek dla nienasyconego łakomstwa! Oyciec móy, dowiedziawszy się o passyi moiey, wszelkich używał sposobów aby mnie odwieść. Widząc próżność swych pogróżek, chwycił się takich srodków, któreby stargały wszelkie me nadzieie. W tym celu wyjednał dla mnie u zwierzchności dowództwo półku; i rozkaz wyiścia z nim za granicę. Dotąd okazywałem wszelkie uszanowanie posłusznego Syna; lecz ten okrutny dla serca mego wyrok, wprawił mnie w rospacz. Dowiedziałem się w krótce, że sposobiono dla mnie cios jeszcze daleko nieznośnieyszy, wygnanie i ciężkie okowy małżeńskiego związku. Nie miałem naymnieyszey wolności wychodzenia gdziekolwiek bez dręczącego swiadka, od którego wszędzie byłem ścigany. Naostatek pewnego razu wśrzód głębogiey nocy udało mi się uwolnić od mego stróża. Bynaymniey niezwłaczaiąc rzuciłem się oknem wychodzącém na ulicę. Miłość i rozpacz dodały mi skrzydeł, i chociaż z wielkim spadłem uszkodzeniem, jednak nie straciwszy by-

naymniey przytomności, poleciałem do mieszkania méy kochaney. Naywiększa cichość panowała w około jéy schronienia. Zbliżam się, drży serce, nogi się chwieią. Słyszę miłe jéy tony przerywane westchnieniem. Ciężki dźwięk arfy, które y strony opieszale odpowiadały na smutny głos śpiewu........ Ach! wszystko to, w takie wprawiło mnie zachwycenie, że zaledwo nie pozbawiłem się życia. Upadłem bez przytomności, i nie piérwéy przyszedłem do siebie, aż uczułem gorące łzy na twarz moią spadaiące. To była ona...... ona...... którą gwałtowny huk usłyszany przy moim upadku sprowadził na móy ratunek. Blada, drżąca, uwielbiana kochanka........ Co za widok. Długo nie mogłem bydź pewnym, czy nie weśnie zostaię, albo raczey powiém byłem w tym przekonany i lękałem się ocucenia. O jakbym był szczęśliwy, gdybym nazawsze wówczas utracił był życie! zaklinałem; błagałem; niestety! groziłem nawet rozpaczą; lecz nic stałości jéy zachwiać nie zdołało. Mówiła, jak sama mądrość, płakała, jak czuła kochanka, radziła abym słuchał oyca; — bezsumienna; kazała mnie nawet zapomnieć o sobie....... Pamiętam jéy słowa: *Eugieniuszu, zapomni o mnie bądź szczęśliwy......... żyi i kochay.......* Nie mogła słów tych dokończyć. Tu stałość odstąpiła ją. Rzuciłem się jéy do nóg, nie prosiłem już aby uciekała ze mną, lecz

przysięgałem ją kochać do ostatniego oddechu, i nigdy nie ślubować inney. Takową moją przysięgę stwierdziła wzaiemną obietnicą. To jedno z niewalało mnie cierpliwie znosić ciężar życia, któreby w krótce trucizna przecięła. Stokroć powracałem na to mieysce, gdzie się rozstałem; całowałem ziemię na którey stała; skrapiałem ją łzami. Jutrzeńka zastała mnie jeszcze leżącego bez zmysłów na mórawie. Widząc się nie w możności, przeciwić woli oyca, postanowiłem udawać spokoynego, aby przez to wygnanie moje sprawić znośnieysze. Chcąc zupełnie poświęcić się obowiązkowi memu; miałem powod wymówić się pod tym pozorem od nienawistnego małżeństwa. Serce moje było ściśnione, lecz miałem dosyć męztwa udawać spokoynego; mówiłem wiele o sławie, aby przez to rozumiano, jakoby ta nad wszystko mnie zaymuie. I tak przymus naypierwszy naucza nas kłamstwa, jeżeli nie mamy sposobności uniknienia przemocy. Nie raz wyrzucałem sobie tak przeciwny charakterowi moiemu postępek, lecz spodziewaiąc się tym dopiąć moiego zamiaru, usprawiedliwiałem go, jako jedyny srzodek do zachowania szczęśliwości mojego życia. Wyszedłszy za granicę rozstałem się z nią, lecz w nadziei bycia kochanym stale, znosiłem tak okrutny wyrok. Niesłyszałem więcey o wyniosłey Pannie R....... którą ambicya

i duma przeznaczyły dla mnie za małżonkę; karmiłem się nadzieią, że czas uprzątnie tę zawadę mojey szczęśliwości. Niestety! czas........ ten tylko zwiększył me nieszczęścia; odkrywszy wiarołomność i niewdzięczność téy, za którą z ukontentowaniem poświęciłbym życie. Do czego znikło szczęśliwe omamienie, naywiększe słodzące przykroście? — W tedy jeszcze mogłem znosić nie sprawiedliwoście świata, prześladowanie losu, a nawet przekładałbym rany serca moiego. Nie, sądzono mnie ciężkich doświadczyć ciosów, któremi groził los, podczas mamiącego blasku mniemaney rozkoszy. Po trzech leciech wygnania mego, powróciłem z korzystnemi owocami wyniosłości, pochwałami uwielbiany. Przedmiot zawisci, mych chciwych honoru rywalów, stał się w krótce przedmiotem prześladowstwa i potwarzy. Znosząc cierpliwie los móy przekładałem siebie wsród naylicznieyszych zgromadzeń. Oczy i serce szukały jednego tylko przedmiotu. Próżna troskliwość! w krótce dowiedziałem się o losie moim....... Zdrada była nadgrodą tak stałey i nieszczęśliwey namiętności,,.......

Przyjacielu! rzekłem; 65 lat ochłodziły krew moią: lecz i ja byłem młody, miałem pałaiące uczucie, i byłem nieszczęśliwy. Teraz jestem już na brzegu mogiły. W tém spokoyném schronieniu biesiaduiąc z ostatkami mnie podobnych, nauczyłem

się w inney postaci uważać źrzódła naszych nieszczęść. Weydź w moią chatę. Tam się dowiesz, że niestałość naszych nadziei, jest powszechną dolą. Ciężkie westchnienie było odpowiedzią jego. Zdawał się nie myśląc postępować za mną. Nareście zbliżamy się ku chacie. Towarzysz móy nagle uchwycił mię za rękę; zbladła twarz okazywała jego przestrach. Chwiał się, oczy zdawały się szukać przedmiotu, który je poraził. Niezrozumiałe słowa obumierały na ustach. Nakoniec przerywanym wyrzekł tonem: g...łos...... Nic tu niéma nadzwyczaynego; rzekłem z uśmiéchem postępuiąc naprzód, i utrzymuiąc go. Zaledwiesmy wstąpili na próg mego mieszkania, aż krzyk przeraźliwy dał się słyszeć po całey chacie; i nieznaiomy zostawał już bez zmysłów na mym ręku....... Drżąca Eliza i ja spieszyliśmy mu na pomoc. O Eugieniuszu! krzyknęła Eliza głosem serce rozdzieraiącym, wlépiwszy nie poruszony wzrok swóy w martwe ciało nieznaiomego; i łzy obficie polały się z jey oczu. Wszelka moja troskliwość nie była dostateczną, do ożywienia tego rospaczą wycięczonego ciała. Scieśniony oddech poświadczał o jego życiu. Kilka upłynęło godzin, pomiędzy strachem a nadzieią. Eliza żałośnie ściskała martwą jego rękę. Ze smutkiem spoglądała na mnie; prosiła i lękała się dowiedzieć mego zdania. Naostatek ciężkie we-

stchnienie ulżyło nieco wewnętrzne cierpienia i przywróciło mu pamięć. Otworzywszy oczy spoglądał na klęczącą ułoża bladą i napół obumarłą Elizę. Spóyrzenie jego było naydobitnieysze; podobne do owego, które powinien był mieć pierwszy człowiek; gdy zostawał w żachwyceniu uyrzawszy zmyślnego cudownych w dzięków Towarzysza........ Lecz w krótce ze drżeniem ukrywszy oczy, przeklinał nieszczęsne światło, stanowiące gorszki moment powróconego życia. Elizo! powtarzał kilkakroć z mieniaiącym się głosem. Elizo! tysz to jesteś? czy też cień twóy przyszedł zwiększać me cierpienia? gdziesz jestem? w przybytku umarłych!.... Tak! wiarołomno! przyszedłem ścigać cię..... Elizo! tyś na ziemi, wśród rozkoszy, a ja tu, jeden. Żyi, niechcę mieszać twey szczęśliwości. Słowa te na przemiàn wymawiane z czułością i z wielkim roztargnieniem, naprzemian upewniały mnie, ogrożącém mu niebezpieczeństwie. Nieszczęśliwa Eliza drżała za każdym słowem. Naostatek nie mogąc znieść dłużey walki swych uczuć, padła martwą na ziemię. To żałośné zdarzenie odkryło mi całą prawdę, i stwierdziło moie domniemania...............

Andrzey Klimaszewski.

DO BOGA

Boże dobroci prawdziwéy,
Co światem rządzisz łaskawie;
Wszędzie mocy sprawiedliwéy,
Slady twe widać na jawie.
    Wszystko Cię chwali stworzenie,
    Wszystkiemu moc twa nadaje.
    Prawdziwe i stałé mienie;
    Wszystko twą chwałą poznaje.
Całe nadziemne sklepienie
Okryłeś suknią kwiecistą;
Którey błyszczące promienie,
Kryjesz czasem chmurą mglistą.
    Ty! w niezmierną przestrzeń morza
    Zgromadziłeś wszystkie wody,
    A lsknące się co noc zorza,
    Twéy mocy wierne dowody.
Z gór czynisz doły głębokie,
Z nizin wyprowadzasz góry;
Z strug rzeki robisz szérokie
A z pogody ciemné chmury.
    Xiężyc, który w wiéczor wschodzi,
    I obdarza światłem nocy,
    Bardzo wiernie nam dowodzi,
    Twey mądrości z twey mocy.
Ty to ziemi ruch nadałeś,
I wszystkim błyszczącym zorzom
Wszystko mądrze udziałałeś;
Ty głębokość dałeś morzom.
    Słońce co pięknie przyświeca
    I swym światłem ten świat zdobi,

Ku twey chwale chęć w nas wznieca,
I czulszemi coraz robi.
Tobie ziemia winna płenność,
Te żywioły i tê kwiaty,
A pory częsta odmienność
Różność tę daje jey szaty.
Przechwalców ty zginasz karki,
Sprawiedliwość swoią dajesz
Poznać gdy dopełnią miarki
Czulszym Oycem ich się staiesz.
Jakże my chwalić nie mamy
Twojey łaskawey dobroci
Która, gdy trosk doznawamy,
Wraz w wesołość ję obróci.
Wszystkich ludzi sądzisz sprawy,
Wszystkich postępki poznajesz,
Dla dobrych będąc łaskawy
Wieczną nadgrodę im dajesz.

Platon Sosnowski.

WYTRWAŁOŚĆ

Nie wszystko w tenczas, gdy człek chce przychodzi
Nieraz nie stała fortuna uwodzi,
Albo hoynie obdarza, szczęściem i honorém,
Albo gnębi w nieszczęściu, idąc zwykłym torem
Nie ufay jednak, w bogactwach i złocie
Bo szczęście w cnocie.
Choć się uśmiécha szczęście zbyt nie stałe
Pamiętay na to, że płocha, nie trwałe,
Tych opuszczaiąc, drugim przyjaznêm bydź zda się

Lecz i nayszczęśliwszego, rzuca w swoim czasie.
Nie bądź zbyt wesoł, gdy ci szczęście sprzyja,
Bo prędko mija,
Gdyś jest w nieszczęściu bądź zawsze wytrwałym,
Znoś nędzę, biedę umysłem tak stałym.
Zeby zawsze w otusze będąc i nadziei,
Czekać szczęśliwszéy losu ślepego kolei.
Przyidzie, a lotem nie ścigłym pospieszy
W nędzy ucieszy.

Przez tegoż

B A Y K A

z Francuzkiego

Ż ó ł w.

Jespan Zółw widząc nie raz Orła lot wysoki,
Umyślił powędrować pod same obłoki;
Więc doń przez posły swoje szle komplement taki,
Aby go raczył wynieść nad powietrzne szlaki.
Niezmierna zazdrość serce Zółwia tłoczy,
Ze Orzeł lata na wzór błyskawicy;
A pragnąc widzieć Jowiszowe oczy,
Chciał z nim w olimpu rozmawiać Stolicy.
Co za rozkosz z wędrówki w swey myśli układa!
Zwykły sposób pełzania był mu uprzykrzony.
Więc go Orzeł podnosi; Zółw na ziemię spada,
I pod własną skorupą nieborak zgnieciony,
Przed zgonem słowy odezwał się temi:
„ Należało mnie, czołgać się po ziemi,

„ Nie podobna bez skrzydeł, wznieść się pod Niebiosy„
Równeż tego Panicza spotkać mogą losy;
Gdy możnych naśladuiąc, szczupłe mienie straci,
Krótką trwałą wystawność, golizną przypłaci.

Benedykt Paszkiewicz.

Dnia 15 Czerwca 1816.

SATYRA.

ŻONA MODNA

Jak się masz przyjacielu! móy dawny sąsiedzie?
Czyś zdrów, czy wszystko tobie pomyślnie się wiedzie
Zyźny plon, buyne żniwo, czy zdrowa obora?
— Dzięki Bogu — A Imość jak się ma niechora?
— Kaszla trochę, a przeto niechcąc bydź kaleką
Wybiera się po zdrowie w podróż niedaleką.
— Dokądże — Do Karlsbadu, — to prawda że blisko
Lecz jak widzę to ze mnie czynisz pośmiewisko
— Szydź bracie. Ale wierz mi; powiadam ci szczerze
— Mów co chcesz, ja twey mowie w cale nieuwierzę
Zeby tylko dla kaszlu jechać w obcé kraje
— Cóż robić? kiedy unich takie są zwyczaje.
Leczyć się w swéy oyczyznie jest to przeciw modzie
Póysdź przeciw woli żony myśli o rozwodzie
W net wyjeżdża z posagiem, a nie pomni na to:
Ze już posag zniszczyła, z mężowską intratą
A tak człek musi znosić to grymaśne licho,
Zona wrzeszczy jak czayka; ty mężu siedź cicho.
Ledwo jeszcze co słońce rozpędza mrok blady,
Już Jéymość leżąc w puchu „ podadź czokolady

Hey lokaje czém prędzey! bieży liczna rzesza
Każdy na głos małżonki, nayskorzéy pośpiesza
A tak gdy sługa czeka jey skinienia twarzy
Jéymość piękném nazwiskiem każdego obdarzy:
Że ta zgraja służalców nikczemna, swawolna,
Na odgłos swojey pani, pełznie nazbyt zwolna
Piękny tedy dobrydzień „ Rozrzucone marki
Nie opatrzone jeszcze dotychczas kanarki
W moment niech tu przychodzi od ptaszarni sługa
Biédna już tak oddawna nie spi ta papuga
Kazać żeby tę klatkę odmieniła szpaku
Dać kanarkóm sałatki cukierku i maku
Niech Bufcio (1) pije zaraz mleczko na śniadanié
Wymyć go, włos wyczesać, mieć o nim staranié
Hayduk niech czyści meble — hayduk niedomaga
Rzeknie rzesza — „ Patrzayże ... skądże ta powaga?
Chory pan hayduk ... biédny....nieszczęście móy Boże...
Niech pan hayduk choruje, gdy chorować może
Dzisiay nie czas mu leżeć w tak nagłey potrzebie
Jeśli zaś wstać nie może, niech naymie za siebie. „
A Jeymość dobrodzika już nie pomni na to
Że hayduk sam się nigdy nie widział z zapłatą
Bo poddani rzuciwszy woły, brony, pługi
Od roli do pokojów poszli na usługi.
— Piękna więc twoja żona — Ale słucháy bracie
Mówmy daley, a kończmy prędzéy o zapłacie
Dawszy takie rozkazy więc moja rządczyna
Spi znowu aż uderzy dziesiąta godzina
Wstaje potém .... zaraz się schodzą na śniadanie

(1) Nazwisko pieska.

Garderobne, panicze, rezydentki, panie .....
Siada Jéymość na sofie, tuż Bufcio pod bokiém
Cieszy się z swoją panią, tak swietnym widokiém
A wiedząc co jest dla niéy naymilszą zabawką
Z jedneyże filiżanki posila się kawką
Odbywszy takie trudy, gdy nie czuje głodu
Raczy Jéymość małżonka wstąpić do ogrodu
Tam leciuteńką nogą obiegłszy zielenie
Znużona wchodzi między cyprysowe ciénie
Lub do gaju tchnącego balsamiczną wonią
Gdzie skrzydełka zefirów słodki powiew ronią
Gdzie słowik swém spiewaniém ucho oney pieści
Gdzie smutnie brzęczy strumień gdzie liść drzew szeleści
Gdzie .... ale poco przedłużam mą mowę
Tam Jéymość mając modą zaprzątnioną głowę
Wsparłszy się na kwiecistey kanapy krawędzi
Cała się tém zatrudnia cały czas ten pędzi
Na dumaniu gdzie dzisiay raczy bydź z wizytą
Czy koczém, czy warszawską pojedzie karytą
Czy kozak, albo murzyn, albo tatar z dzidą
Mają konno plonsować przed moją Filidą
Nakoniec tém zaprząta swóy dowcip głęboki
Czy ma dziś wziąść kapelusz na łokiec wysoki
Którym ją obdarzyły zagraniczne kraje
Jaki ma tylko ona, innym nie dostaje
Czy przypadnie do twarzy w kaszmirowym szalu
Bydź na masce, operze, albo też na balu
Jakie ma na swém uchu zawiesić kolczyki
Czy może dzisiay włożyć te modne trzewiki
Które nie dawno (niewiem na jakąś tam fetę)
Z paryża sprowadziła przez szybką sztafetę.

Przecież namyśliwszy się w jakich będzie strojach
Wnet ją znowu, witaią sroki na pokojach
Wnet wydaje rozkazy.... w domu wrzawa wszędzie
Każdy krzyczy— „ hey! Pani ubierać się będzie
Stuku pełno jak gdyby już skończenie świata
Co słowo piorun z piersi iak z nieba wylata
Ta niesie wodę pani, i pachnące mydło
Ta ręcznik holenderski, pęcherz i bielidło
Ta pomadę do włosów, ta grzebień na głowę
Owa włoskie parfumy, wódki lawendowe
A ta proszki do zębów, sinidło do lica,
Którego na cal biorąc, twarz swoią zaszczyca
Gdy więc na tém przepędzi, Jéymosć cały ranek
Kocz Warszawski zajeżdża z trzaskiém przed krużganek
Tedy Jéymość małżonka wsiadłszy do pojazdu,
Schyleniém główki mężu daje znak wyjazdu
Bawi się potém krótko na balach, operze,
Bo ledwo w noc o piérwszéy wraca na wieczerzę.
— Może się też poprawi — Ja sobie nie tuszę
Ale bądź zdrów móy bracie spieszno odeyść muszę.
— Dokąd? — Idę po pasport a potém podskoczę
Po sześć bryk, dwie karyty, i trzy jeszcze kocze
Zeby Imość zabrawszy sroczki i czyżyki
Kanarki, piękne szpaczki, skowronki, słowiki,
Wszystkie klatki, a z niemi indyyskie papugi
Swoją godność i dla niéy przeznaczone sługi,
Szczęśliwie poleciała szaleć w obce kraje
Szukać mod, których jeszcze polsce nie dostaje;
A zapewne przebywszy kraje w mody płodne,
Przywiezie do nas grzebień, lub trzewiki modne.

Jędrzey Jastrzębski.

PRZEMIANA

MIŁOŚCI

Między jednym poetą i pewną panią wszczęła się chwalebna, acz rzadko dzisiay daiąca się słyszeć rozmowa, o miłości bliźniego. Lecz jako się zaraz okaże i ta niestety! wytrwać długo nie mogła między osobami, których serca, bardziey ulubionego przedmiotu niż bliźniego miłością pałały.

Pani ta maiąc wrodzoną kobiétóm duszę tkliwą, nader przykładnie zasadzała miłość bliźniego, na odjęciu sobie użyteczney a nawet nie odbicie potrzebney rzeczy, dla oddania jey, ku wspomożeniu potrzebuiącemu; czyli na własney, że tak rzekę, nienawiści dla miłości bliźniego. Poeta zaś nie widział potrzeby takiego o sobie zaniedbania i utrzymywał, że można razem bliźniego i siebie miłować; a idąc za poezyi prawém, które każe korzystać z naymnieyszey wydarzoney okoliczności, mogącey nastręczyć pole do *szczytnych wybuchów* Imaginacyi i czucia ...., okazał téy pani drogę i podobieństwo kochania siebie samey, przy niczém nie nadweręzoney przez to miłości drugiego, w następnych dwóch wierszach:

„ Kochay się Pani, w tey co ja osobie ...:
„ Polubisz siebie, pokochasz się w sobie.

M. L.......

DO PANA PAWŁA

Mówisz że Mamert głupi, zgadzam się i wierzę:
Bądź jednak dyskretniéyszym mćy Pawle w téy mierze.
Chrześciańska Religiia, nakazuie tobie;
Nigdy źle nie mówić o podobnych sobie.

NA WIERSZOKLETĘ

Co domnie, robię rymy prędko i przyjemnie,
Rzekł Edmund, nikt wyborniéy nie pisze nademnie:
Wiersze nic nie kosztują, nigdy mojéy głowie.
Kosztują, czego warte, żartowniś odpowie. (1)

---

(1) Podobniutka epigramma znayduje się w ostatnim numerze Dziennika Wileńskiego. Rzecz dziwna, jak dway pisarze, francuzki i polski, na jedną i tęż samę myśl trafili (zapewnie jeden geniusz obu ją podyktował), nie sądzę bowiem aby to było tłumaczenie; boby pisarz polski jako tłumacz, nieprzepomniał przynaymniéy wyrazić, że to jest przekład lnb naśladowanie z francuzkiego.

Dozwala się drukować z warunkiem przedstawienia do Komitetu sześciu exemplarzow dla mieysc przeznaczonych. Dnia 20 miesiąca Lipca roku 1816.

G. E. Groddeck P. Ord. Czł. Kom. Cenz.
Niszkowski P. Ord. Czł. Kom. Cenz.
X. J. K. Chodani Prof. Ord. Czł. K. C.